



PARADA



ROK III

NIEDZIELA, 28 STYCZNIA 1945 R.
SUNDAY, 28 JANUARY, 1945

Nr 3 (47)

CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mls., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 rls., w Anglii 6 d., w Afryce Wsch. 6 d., we Włoszech 12 lirów

Drewniany kościółek w Rabce



Nowoczesny hotel



Sandomierz — ratusz



Dworzec morski w Gdyni



Rynek Krakowski



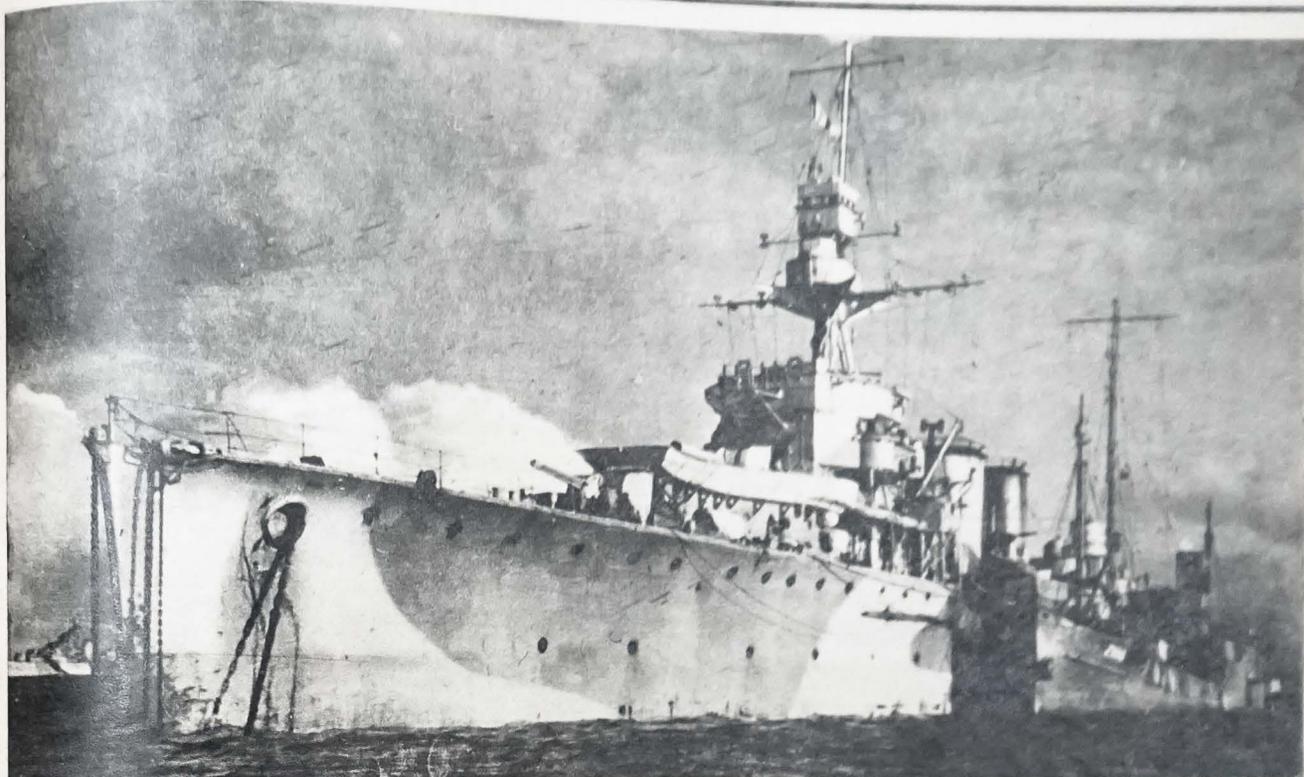
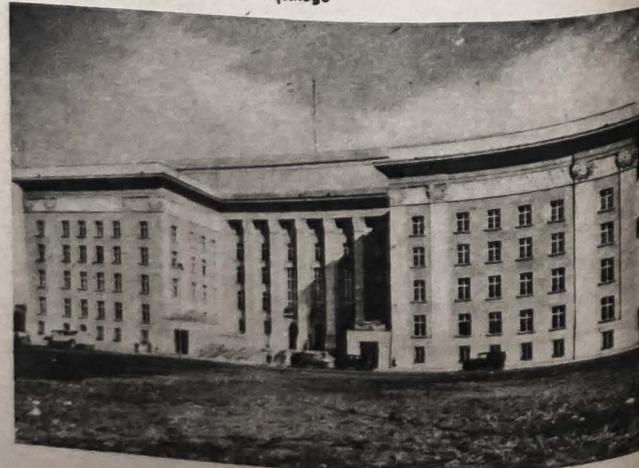
Tereny wystawowe w Poznaniu



Gmach Teatru Wielkiego w Warszawie



Katowice — gmach Województwa Śląskiego



ORP „Dragon” brał udział również w inwazji

„Ogień bardzo skuteczny — dziękujemy Ci Polsko!”

MARYNARKA POLSKA RAMIĘ W RAMIĘ Z ROYAL NAVY

W roku 1939 Hitler w swych komunikatach wytypił i zmiążdżył całą Polską Marynarkę Wojenną. W istocie Marynarka ta nie tylko nie zginęła, ale walczyła dalej, rosnąc w nowe okręty i nowe zastępy marynarzy. Gdyby kto Hitlerowi powiedział przed pięciu laty, że Polska Marynarka będzie dziś silniejszą od przedwojennej, i że zatopi mu ponad 80 okrętów i statków, wysyłając do podwodnej przystani Neptuna kilka tysięcy hitlerowców — Fuehrer kazałby go zamknąć jako zwariowanego defetystę. A jednak tak się właśnie

stało, Polska Marynarka Wojenna jest równie niezniszczalna, jak niezłomny jest duch jej marynarzy. W styczniu 1944 roku, okręt podwodny DZIK dotarł aż pod Dardanele, gdzie zatopił transportowiec 4.000 ton i dwa szkunery. Drugi okręt podwodny — SOKÓŁ, zatopił na morzu Egejskim szkuner i rozproszył konwój nieprzyjacielski. Nieco później kontrtorpedowce ŚLAZAK i KRAKOWIAK przeprowadziły szereg patroli i eskort na Morzu Śródziemnym, ratowały lotników, walczyły z samolotami, bombardowały brzegi nieprzyjaciela.

Kontrtorpedowiec GARLAND zawędrował poza równik, na Atlantyk Południowy, a później do wschodniej części Morza Śródziemnego. Kontrtorpedowce PIORUN i BŁYSKAWICA tropiły nieprzyjaciela na Atlantyku; pierwszy z nich w kwietniu, uczestniczył w wielkiej operacji przeciwko niemieckiemu nadpancerownikowi TIRPITZ w północnej Norwegii. Kontrtorpedowiec BURZA walczył z okrętami podwodnymi na szerokich wodach Oceanu Atlantyckiego. Ścigacze działały na wodach otaczających Anglię, uczestniczyły w operacjach

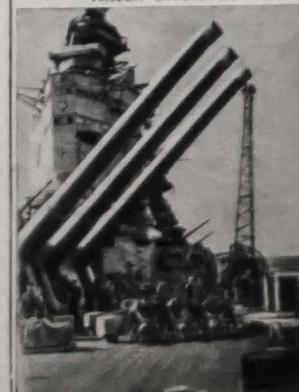
stawiania min, wysadzania desantów dywersyjnych we Francji, a także w atakach na konwoje nieprzyjacielskie. Kiedy 6 czerwca 1944, nadszedł historyczny dzień inwazji kontynentu europejskiego, Marynarka Polska, w myśl tradycji, że żadna większa operacja bez niej obejść się nie może, stanęła do apelu. KRAKOWIAK i ŚLAZAK szły w pierwszej fali desantu, ogniem swym zmuszając do milczenia baterie przeciwnika i wspierając lądującą piechotę.

KRAKOWIAK zdobył dwie ban-

Na brytyjskim kontrtorpedowcu



NASZA OKŁADKA



„Wielka żółka” H. M. S. Nelson
Fot. — British Ministry of Information

W numerze:

Reportaż z otwarcia kairskiego muzeum: SAM NA SAM Z TUTANKHAMUNEM — Juliusz Mieroszewski

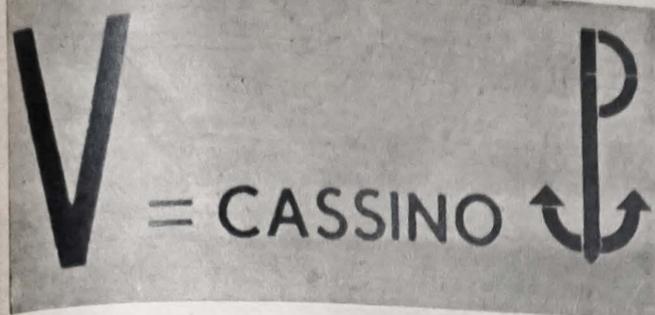
SPOTKANIE Z KRAJEM — Tadeusz Pniowski

PO BITWIE — Władysław Choma

LIST Z AFRYKI — Jerzy Pomian

FELIETON — Tadeusz Wittlin

Spotkanie z Krajem



Napisy, jakie pojawiły się na murach Warszawy, po zwycięstwie 2 Korpusu pod Cassino

Prasa podziemna w Kraju

Przyjmijmy znak Armii Krajowej

Od Kraju jesteśmy już daleko, daleko dalej, niż mówią pozory.

Od Kraju dzieli nas nie tylko przestrzeń i czas. — Przestrzeń, leżąca między nami a nami obcą ziemią, morzem i wrogimi granicami, czas pięciu i pół lat, zasnuwających mgłą tragicznego zapomnienia obraz najdroższych nawet osób. — Przedziela nas od Kraju również to wszystko, czym żyjemy tyle lat, a co tak jaskrawo różni się od życia w Polsce. Broniąc się przed tym uciekamy myślami w przeszłość, wiążąc się również i z tym, co teraz jest w Polsce. Ale tam to, z lat przedwojennych, jest politycznie, gospodarczo i społecznie światem zaginionym, który może tylko zwiększyć, a nigdy zmniejszyć nasze oddalenie od Kraju. A znow to, obecna rzeczywistość niewoli i buntu, w swej potwornej istocie, jest stosunkowo za mało znana. Cyfry i fakty przez prasę podawane wydają się często przesadą. Zmniejsza się też zdolność głębokiego odczuwania, tępiejemy...

Spotkanie z Krajem — to dzisiaj spotkanie z ogromnym cmentarzyskiem i największym frontem, z jednym i drugim równocześnie.

To oni przychodzą stamtąd. Ten różowy, jak dziewczynka, blondynek, zaledwie dwudziestoletni, a już z dwuletnią służbą w armii niemieckiej, ten drugi z martwą twarzą i utajoną w oczach łuną pożarów, nie pamiętający, kiedy śmiał się ostatnio, i ten trzeci — który przed niepełną rokiem był jeszcze w Polsce i jako „politisch verdaechtlich” ma za sobą więzienia i obozy karne.

Są z Pomorza, ze Śląska, z Warszawy. Jest ich tu, przed nami, trzech, ale reprezentują setki i tysiące, są — Krajem. Przychodzą z cmentarzyska...

Nie ma tam już krzyży, wyrwanych i zniszczonych, są groby, jest krzywdą codzienna. Groby masowe i krzywdą zbiorowa. Ci świadkowie opowiadają krótkimi zdaniem, rwącymi się w ogniu nerwowych pytań, o mecie swojej i innych, o miesiącach trwania.

W wielu miastach Pomorza, Wielkopolski i Śląska nie było słychać nawet słowa polskiego. Język nasz, wygnany z ulicy, nawet w domach został przyciszony. Dopiero powszechne powołanie Polaków do wojska niemieckiego dało większą swobodę mówienia językiem ojczystym. Egzekucje bez sądu, trawienie zakładników, poniewieranie polskości na każdym kroku, mieszańce nigdy i nigdzie wbrew kłamliwym frazesom rozgłoszeni niemieckich. Obozy karne, z których wychodzi się rzadko, obozy inne, z których nie wychodzi się nigdy, a w których prochy spalonych Polaków, między innymi śląskiego księdza Michejdy — „rozrzucone zostały na cztery strony świata, aby i śladu z nich nie zostało”, jak głośno obwieszczenia niemieckie.

Upokorzenia codzienne i ciągłe mogłyby stać się groźne dla Niemców. Każdy stuk przycisza rozmowy, wzniesła obawy na kogo dzisiaj koleją, na kogo i na co: więzienie, obóz-śmierć, czy praca niewolnicza.

Miasta na zachodzie Polski pustoszeją. Mężczyzn niemal nie ma, kobiet coraz mniej. Wysłiedzenia, branki i obozy działają jak pompa ssąca. Sytuacja żywnościowa coraz gorsza, a jak już zła — o tym porównawczo świadczą niedojadanie nawet żołnierzy niemieckich, źle odżywianych, głodnych. Młodzież jest bez szkół, demoralizowana na robotach przymusowych, demoralizowana i tym zarobkiem, jakiego bez względu na rodzaj chwycić się musi. Trzeba żyć!

Część kościołów zamknięta, ludność bez pociechy religijnej, bez Sakramentów Świętych — bez krzyża, sama na krzyżu... Nie ma domu w Polsce — mówią Polacy stamtąd — nie ma rodziny, którzy nie straciła kogoś najbliższego, którzy nie tracą ich stale. Zagrożeń są wszyscy i w każdej chwili.

Opowiadanie tych świadków ze świata, z którego nie wszyscy ujść mogli, a w którym żyć trzeba, jest nie kompletne. Urywa się często na słowach nieporadnych wobec tak wielkich przeżyć.

Kiedyś, jesienią, jak liście spadniemy z drzewa polskiego. Z drzewa, które dookoła obrasta grobami. Musimy tam wrócić — powrócić żywi, bo na tym tak wielkim cmentarzysku, jakim Polska nigdy przedtem nie była, są jeszcze ludzie żywi i — walczący. Nasze życie tylko z nich bierze swą rację i prawo.

Przychodzą też z frontu nieustannej walki... Oni — ci chłopcy, którzy nosząc już dzisiaj mundur polski, niedawno jeszcze włóczyli się w zmienionej armii niemieckiej. Zabrał ich pobór z różnych ziem Polski i wyrwał z akcji, w nych ziem każdy mieszkaniem Kraju: z upartego trwania, z ciągłego buntu, z czynnych wreszcie działań Armii Krajowej. Na tym froncie nawet „dzień powszedni państwa Kowalskich” jest walką z okupantem. Jedni walczą cicho bierząc oporem, inni indywidualnym sabotażem, jeszcze inni w zorganizowanych oddziałach. Nad Krajem zawisło nie tylko zniszczenie, ale i groźba — jednych i drugich. Zajeły przez Niemców gmachy są odrutowane i ufortyfikowane, przy drogach wiszą tablice, ostrzegające przed jazdą w pojedynkę, samotnie. Groźba i śmierć wisi nad każdym domem polskim, ale ciąży także nad każdą rodziną niemiecką. Jest to front bez luzowania i wypożyczków, bez przerwy i bez ilości.



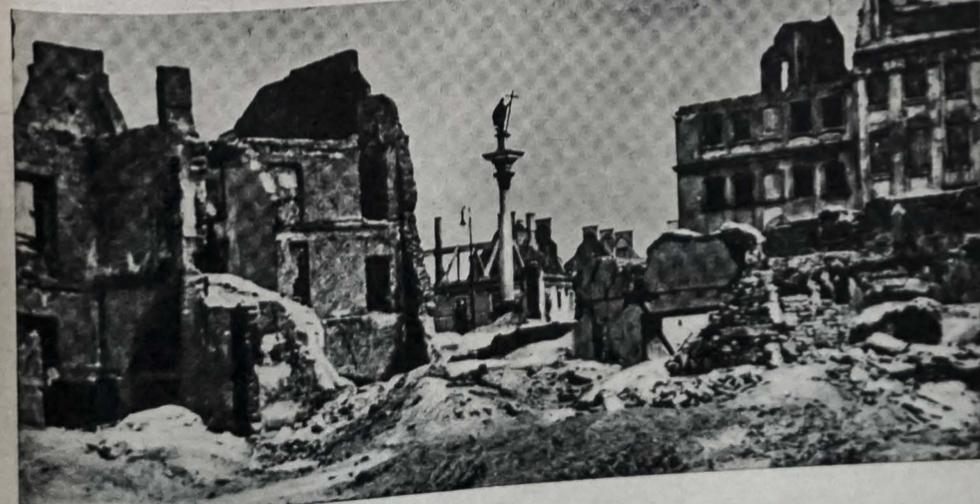
tażem, jeszcze inni w zorganizowanych oddziałach. Nad Krajem zawisło nie tylko zniszczenie, ale i groźba — jednych i drugich. Zajeły przez Niemców gmachy są odrutowane i ufortyfikowane, przy drogach wiszą tablice, ostrzegające przed jazdą w pojedynkę, samotnie. Groźba i śmierć wisi nad każdym domem polskim, ale ciąży także nad każdą rodziną niemiecką. Jest to front bez luzowania i wypożyczków, bez przerwy i bez ilości.

Odezwały się znow — jak mówi Wierzyński w swej balladzie o Churchillu — „echa leśne”, ożyły grotterowskie sceny powstańców z lasu, dziwnie kontrastujące z nowoczesnym eposem batalii warszawskiej generała Bora. Pięć i pół lat organizacji podziemnej, coraz doskonalszej, pięć i pół lat takiej męczącej walki, tym trudniejszej, że niemal samotnie toczono, że walka toczy się o wolność, o każde nasze miasto i wieś, na wschodzie i zachodzie, na północy i południu, o tę wolność, która jak i nasza ziemia jest niepodzielna.

Te polskie „echa leśne” rozszły się daleko poza Kraj, mocniej i głębiej między same narody, niż wśród polityków i mężów stanu. Tylko dlatego nasi chłopcy w mundurach niemieckich, okupując inne kraje, uzyskują przyjaźń i pomoc za jedno tylko słowo — „Polak” — które stało się dzisiaj czymś więcej, niż wyznaniem narodowości. Zdecydował o tym Kraj swą niezmienną postawą, zdecydował i o naszych, poza jego granicami, możliwościach zbrojnych.

Wydaje się, że wśród nas mimo wszystko Armia Krajowa jest niedoceniona, zwłaszcza dotyczy to okresu sprzed powstania warszawskiego. Porównując polskie wysiłki wojenne, przyzwycailiśmy się do pewnego uprzywilejowania naszych armij, powstałych i walczących poza Krajem. Właściwą miarę przywracając dopiero oficjalne cyfry strat, które w pewnym sensie są rewelacyjne. Ogłosiła je „Polska Walcząca” w numerze z 25 listopada ub. roku.

Wrzesień 1939: ruiny Warszawy



Lotniskowiec H. M. S. „Ark Royal” w porcie



Pancerniki brytyjskie w akcji. Po lewej H. M. S. „Renown”

portowców różnych typów, i dwa dalsze, łącznie z okrętami brytyjskimi, siedem barek desantowych, jeden holownik. Wreszcie na liście tej figuruje około 100 samolotów.

18 sprzymierzonych okrętów wojennych, 27 statków handlowych i ponad trzy tuziny samolotów było ratowanych przez polskie okręty wojenne. W większości wypadków ratunek był skuteczny.

Odnaczenia uzyskane przez szczypty personel Polskiej Marynarki Wojennej przedstawiają się następująco:

43 Virtuti Militari, 1256 Krzyży Walecznych, 37 Krzyży Zasługi z Mieczami.

Odnaczeń brytyjskich: 1 KCB, 2 CBE, 5 OBE, 11 DSO, 16 DSC, 21 DSM, 2 MBE, 9 Mention in Dispatches.

Francuskie: 2 Legie Honorowe i 3 Medaille Militaire.

Tak walczy nasza Marynarka, ramię w ramię z brytyjską Royal Navy.

Pływające fortece brytyjskie



Kontrtorpedowce polski ORP „Piorun” wspomagał Maquis. Przedstawiciel francuskich powstańców, witany na pokładzie „Pioruna”

dery. Krążownik DRAGON — na najtrudniejszym odcinku pod Caen — rozwinął tak skuteczną działalność, że zniszczył budynek sztabowy, wieżę obserwacyjną, 12 baterii, 8 czołgów (kilka innych uszkodził) oraz rozproszył koncentrację wojsk nieprzyjacielskich. Gdyby nie ŚLĄZAK, KRAKOWIAK i DRAGON — lądowanie nie odbyłoby się conajmniej tak pomyślnie, czego dowodem choćby wesoły sygnał, nadany do ŚLĄZAKA przez brytyjską piechotę morską: „Zdaje się, że ocaliliście nasze sędzi” — lub sygnał słynnej trzeciej dywizji do DRAGONA — „ogień bardzo skuteczny — dziękujemy Ci Polsko!”.

W tymże czerwcu PIORUN i BŁYSKAWICA wraz z kontrtorpedowcami brytyjskimi stoczyły pod Onessant na Atlantyku bitwę morską, w której dwa niemieckie kontrtorpedowce zostały zniszczone, a trzeci uszkodzony. W lipcu PIORUN z brytyjskim Ashanti zniszczył na Kanale cztery nieprzyjacielskie połowiacze min, a uszkodził dalsze dwa. W sierpniu BŁYSKAWICA z dwoma kontrtorpedowcami brytyjskimi stoczyła koło wyspy Groix u brzegów Francji, bitwę, w której zniszczono dwa transportowce i eskortowiec. We wrześniu PIORUN storpedował niemiecki łamacz blokad SAUERLAND, usiłujący wejść do La Rochelle. We wrześniu GAR-

LAND zatopił pod Kretą niemiecki okręt podwodny, biorąc 47 jeńców. Po tym wyczynie, kontradmirał Troubridge, dowodzący flotą sprzymierzoną na wodach Lewantu, nadał następujący sygnał:

„Czułność zastępcy dowódcy O. R. P. GARLAND doprowadziła do wykrycia i zatopienia nieprzyjacielskiego okrętu podwodnego. Niech żyje Polska!”.

Szef Sztabu Brytyjskiej Floty Śródziemnomorskiej, kontradmirał Dundas, przemawiając do załogi KRAKOWIAKA i ŚLĄZAKA, oświadczył:

„Wydajność Wasza równa jest wydajności Marynarki Brytyjskiej. Nie mogą zdobyć się na lepszą dla Was pochwałę”.

Do tego krótkiego omówienia dodajmy jeszcze kilka cyfr.

Od początku wojny do końca września 1944, w ciągu pięciu lat i kilku tygodni działalności, Polska Marynarka Wojenna zniszczyła, zatopiła, lub unieszkodliwiła następujące jednostki nieprzyjaciela:

dwa kontrtorpedowce, i dwa dalsze, łącznie z okrętami brytyjskimi, dziewięć okrętów podwodnych, jeden krążownik pomocniczy, osiem ścigaczy. Nadto — jeden okręt obrony przeciwpodwodnej, cztery stawiacze min i cztery dalsze, łącznie z okrętami brytyjskimi, dwa patrolowce oraz 39 trans-

Płynę konwój...





Ciepła groźba wisi nad Niemcami



Rok 1940 — kampania we Francji: zabitych i rannych 6.500; walki w Norwegii — 300.

Rok 1941 — kampania libijska: 900.

Rok 1944 — kampanie włoska i normandzka: 10.000.

Lotnictwo i Marynarka Wojenna, od roku 1940 do 1944: zabitych i rannych 2.500.

Armia Krajowa, do marca 1944 roku: 25.000, przy czym cyfra ta dotyczy jedynie akcji bojowych i sabotaży, a nie innych, codziennych strat, jakie Armia Krajowa ponosi wskutek aresztowań, branki itp. Razem więc straty w zabitych i rannych wojsk walczących poza Krajem wynoszą 20.200, zaś Armii Krajowej — 25.000 żołnierzy bez uwzględnienia wysokich strat powstania w Warszawie.

Czasem dobrze jest powołać się również na wroga. Takim świadectwem, wystawionym przez Niemców Armii Krajo-

wej, jest ustanowiona przez Hitlera odznaka za udział w bitwie o Warszawę. „Warschausechild” noszą wszyscy żołnierze niemieccy, którzy brali udział w walkach warszawskich. Dotychczas podobne odznaki nadawane były w armii niemieckiej jedynie za udział w bitwach, a w kampaniach tej wojny. Za kampanie wojenne uznane zostało przez Niemców powstanie w stolicy Polski.

Całe cmentarzysko polskie jest jednym wielkim frontem. Źródłem tej walki w takich warunkach prowadzonej, niezmiernie narastającymi grobami, jest — wiara. Zarliwa, niewyrozumowana, wbrew rozczarowaniom. Wiara cierpliwa, opierająca się dotychczas zwycięsko nie spełnianym obietnicom. Przywieźli ją ze sobą i oni, ci chłopcy, których celem od wielu, wielu lat była tylko walka i zemsta.



Dowódca 2 Korpusu Gen. dyw. Wł. Anders udekorował Orderem „Virtuti Militari” Gen. Mark W. Clark'a, Dowódcę 15-tej Grupy Armii oraz Gen. Alfreda M. Gruenther'a, szefa sztabu 15-ej Grupy Armii. Na zdjęciu: raport dowódcy kompanii honorowej

W dniu 5 stycznia b. r. General Sir Bernard Paget — głównodowodzący siłami Sprzymierzonych na Środkowym Wschodzie — odwiedził m. p. Dowódcę Jednostek Wojsk Polskich na Środ. Wschodzie. Na zdjęciu: General Sir Bernard Paget w towarzystwie Gen. dyw. J. Zajęca i Gen. bryg. J. Wiatra, przed frontem kompanii honorowej



OBÓZ WOJSKA POLSKIEGO W PARYŻU

Takiej zbierani mundurów różnego kroju i koloru jeszcze chyba nikt nie widział: francuskie khaki i jakieś granatowe ze złotymi guzikami, jeszcze z zeszłego stulecia, nieco amerykańskich i brytyjskich, czasem stroje pół cywilne, pół żołnierskie, a nawet kilka mundurów i rogatywek polowych polskich, sprzed września 1939. Jedynie polskie orzełki i polskie dystynkcje wskazują na to, że jest to prawdziwe wojsko i to wojsko polskie.

W Obozie Zbornym Wojska Polskiego w Paryżu można spotkać ochotników z najróżniejszych stron, najróżniejszego wieku i pozycji społecznej. Większość stanowią Polacy z emigracji francuskiej, ale poza nimi wielu jest Polaków, którzy już po wrześniu przekradli się do Francji, wielu takich, którzy służyli w armii polskiej we Francji w roku 1940, a którzy i którzy cierpliwie w ukryciu, czekali, aż będą mogli znów dołączyć się do polskich szeregów.

Odąd rozpoczęto rekrutację do wojska polskiego na terenie Francji, władze polskie nie mogą nadążyć z rozmieszczeniem napływających ochotników. W koszarach, w których na przełomie 39—40 roku był obóz zborny wojska polskiego, które mogą pomieścić zaledwie osiemset pięćset osób, do niedawna przebywało około tysiąca — już pierwsza partia Anglii, opróżnione miejsca szybko zapełniają następnymi. Wielu z nich komisja musi

odrzuć, gdyż nie odpowiadają wymogom wieku, lub zdrowia, przyjeżdżają kilkunastoletni chłopcy — przybywają meczyni po lat 50 i ponad. Chłopcy do lat 17, o ile są bez opieki, zatrzymuje się, gdyż w niedalekiej przyszłości utworzone zostanie obóz dla junaków we Francji. Mężczyzn ponad czterdziestkę odsyła się do domów, jeśli pochodzą z Francji, wydając świadectwo wypełnienia obowiązku obywatelskiego zgłoszenia ochotniczego do wojska. I jedni i drudzy są zrozpaczeni. Wszyscy garną się do wojska i chcieliby służyć w wojsku polskim.

Podczas pierwszej mojej wizyty w koszarach Obozu Zbornego w Paryżu, spotkałem czterastoletniego Konrada. Kręcił się pośród grupy ochotników, przygotowujących się do odjazdu na dworzec.

Polski ośrodek rekrutacyjny we Francji, listopad 1944



Jest ich trzech, każdy jest inny, ale każdy wierzy. Daleko mocniej, niż my. Wierzą z pasją równie wielką, jak nasz sceptycyzm. Ślązak rysuje coś na kawałku papieru, potem nam podsuwa.

— Znać to? Nasz znak...
Wielkie P. Ta sama litera, którą na specjalnych łatach nosić muszą robotnicy polscy w Niemczech. Tutaj, w znaku Polskiej Walczącej, to P złożone jest u podstawy z literą W (Polska Walcząca), tworząc razem kotwicę, symbol nadziei. Symbol wiary.

PW-kotwica pokrywa wszystkie miasta polskich. Jest groźbą dla Niemców, nadzieją dla Polaków. Po zwycięstwie pod Cassino, w Kraju ukazały się wszędzie wielkie napisy, łączące się w znak Armii Krajowej. Jest to znak nie tylko tej Armii, ale i tej innej Polski, tych nowych pokoleń, które wychowuje trud, jakiego my nie znamy, i ożywia wiarę, nam także niedostępną.

Znak tej Polski powinien być i naszym znakiem. „Czy znać go?” — zapytał nas Ślązak. Odpowiedź nasza, że znamy, nie była przekonująca. Ich znak jest znany, ale jeszcze nie powszechny. Czy nie powinien być spopularyzowany, przyjęty — zrozumiany i odczuty w sercach?

Czy nie byłoby dobrze zawiesić go na ścianach, i w klasach szkolnych, jako symbol najcięższej walki naszego Kraju? Czy nie znalazłoby się miejsca dla tej odznaki, uhonorowanej pośrednio i przez wroga, również i w wojsku polskim, walczącym poza Krajem? Na ramionach żołnierzy, idących przeciw na ziemię polską? Przewozi się stamtąd sztandary. Przenieśmy i zatrzymajmy także ten ich znak — kotwicę nadziei silniejszej nad śmierć.



Marzałek Montgomery dekoruje Generała St. Maczka orderem D. S. O.



Jedno z okien wystawowych w holenderskim miasteczku
Gen. Eisenhower wraz z Gen. St. Maczkiem w czasie wizyty u polskich pancernistów

skąd miano skierować transport do W. Brytanii. Ubrany był w jakąś niesamowitą mieszaninę mundurów, buty amerykańskie, płaszcz francuski i brytyjską furazerkę z polskim orzełkiem — wszystko oczywiście o kilka rozmiarów zbyt obszerne. Spytałem go, co robi w koszarach? Odpowiedział z powagą dorosłego człowieka:

— Jak to? Jestem tłumaczem. To pan o tym nie wiedział?

— A jak się tu dostałeś? Ile to kawaler liczy sobie lat?

— Jeśli chodzi o lata, to mam już prawie sześnaście, tylko mnie ci tam z ewidencji, proszę pana, starają się, nie wiadomo dlaczego — ująć.

Zbliżył się do nas dziennikarz amerykański, z którym zwiedzałem obóz. Zainteresowała go osoba najmłodszego ochotnika. Spytał mnie o chłopca po angielsku, na co ów z największą flegmą zwrócił się do Amerykanina, w niezbyt pewnej, ale poprawnej angielszczyźnie:

— Mogę panu służyć informacjami w pana własnym języku. Jestem tutaj tłumaczem — nie darmo w szkole uczyłem się angielskiego — spojrzaj na mnie z triumfem.

Amerikanin nie na żarty zainteresował się chłopcem.

— Ja panie — odpowiadał Konrad — już i u Amerykanów za tłumacza służyłem. Bo mnie przedstawił kapitan Johnson.

— A któż to jest ów kapitan?

— To, proszę pana, bardzo długa historia...

Owa historia, w skrócie przedstawia się następująco. Chłopak jest synem inżyniera w fabryce. Kiedy w lipcu ub. roku zestrzelono samolot amerykański, którego załoga wyskoczyła przy pomocy spadochronów, Konrad odszukał, schowanego w życie pilota samolotu, kapitana Johnsona i nosił mu przez kilka dni pożywienie. Nieszczęściem, czy kto wydał, czy też Niemcy sami zwąchali i urządzili zasadzkę, na czwarty dzień wszystko się wydało i aresztowano chłopca i pilota amerykańskiego. Umieszczono ich obu w więzieniu.

— Gwoździe mi wbijali w paznokcie, proszę pana, żebym powiedział gdzie jest reszta, bo myśleli, że wiem — opowiadał Konrad. — Dobrze, że nie wiedziałem, bo mozebym i wydał — młoda twarz przybrała nagle wyraz męskiej powagi. — Ale nie wiedziałem, więc chwiał Bogu nie powiedziałem — twarz rozjaśniła mu się w szczerym uśmiechu.

Piątego dnia pobytu w więzieniu, dzięki fizycznym walorom boksera kapitana Johnsona i dzięki znajomości języka francuskiego Konrada, udało się im uciec i przedostać do amerykańskich wojsk na kontynencie. Tu kapitan musiał pożegnać Konrada, polecając go opiece władz amerykańskich. Konrad zawędrował z Amerykanami aż do Paryża, pełniąc rolę tłumacza. W Paryżu na pierwszą wiadomość o rekrutacji do wojska polskiego zgłosił się do obozu zbornego. I tu spotkał go rozczarowanie. Mimo, że podał lat sześnaście, a nie tak, jak naprawdę, czternaście, nie chciano go wziąć do „prawdziwego” wojska. Zrobiono go znów tłumaczem.

— Ale ja, proszę pana, dam sobie jeszcze radę — zakończył z triumfem.

Na czym ta rada miała polegać, dowiedziałem się od zastępcy komendanta Obozu dopiero w kilka dni potem. Okazało się, że jako małoletni, Konrad miał pozostać we Francji, aż do utworzenia obozu junaków. Jemu się znów uśmiechała podróż do W. Brytanii i „prawdziwe wojsko”, a nie „jacyś tam” junacy. Wyjechał z transportem ochotników na dworzec w Paryżu, że to niby jako tłumacz musi z nimi jechać. Do koszar już nie wrócił — przyjaciele ochotnicy przemycili go i już dziś pewnie jest w Anglii. Jak to sobie wymarzył. B. P.



Dniem i nocą napływają Polacy do ośrodków rekrutacyjnych



W gościnie u Holendrów



Ciężkie niemieckie działo, które zamilkło na wieki





SAM na SAM Z TUTANKHAMUNEM

REPORTAŻ WŁASNY „PARADY”

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

Za nami są olbrzymie posągi faraonów, sfinksy, lwy, bloki czarnego granitu — obcy ogrom i płaszczyzny sarkofagów, zapisane ornamentacyjnym, hieroglificznym pismem. Na tym progu strzeżonym przez posągi dwóch żołnierzy gwardii faraona — kończy się właściwie muzeum, a zaczyna Tutankhamun.

Ilekoć przekraczam ten próg wiodący do najdziwniejszych na świecie wnętrz — odczuwam z całą siłą — personalną, osobistą aurę faraona. Wszystko tu jest jego — od łuków, którymi polował, od rękawic i sandałów — po wozy wojenne i

mumie jego wiernych, myśliwskich psów. Ogromna miłość i trudny do ogarnięcia kult zgromadził te tysiące przedmiotów związanych z osobą władcy i kazał im umrzeć wraz z ich panem. Przedmioty te trwają w jakimś obcym, pozagrobowym wymiarze i jak sam faraon są poza czasem i przestrzenią.

Tylko złoto jest zawsze takie same. Nie poddaje się rdzy, ani nastrojowi. Bransolety, naszyjniki, pierścienie błyszczą taką świeżością, jakby zdjęto je wczoraj z wystawy jubilerskiego sklepu. A przecież przeleżały w Luxorze ponad 3.000 lat w głębokich sztolniach królewskiego grobowca.

Bardzo mało wiemy o Tutankhamunie. Umarł mając lat 19. Jego grobowiec odkryto w roku 1922. Mumia jego spoczywała w trzech złotych trumnach-posągach. Ostatnia z nich jest wiernym złotym odlewem-portretem Tutankhamuna. Owe trzy trumny zamknięte jedną w drugiej spoczywały w kamiennym sarkofagu. Sarkofag zaś ukryty był w czterech kaplicach. Kaplice zbudowane są z twardego drzewa grubo złoconego.

Nie wiemy co było przyczyną śmierci faraona w tak młodym wieku. Nie wiemy dlaczego w licznych świątyniach jego grobowca zamknięto niemal wszystkie skarby z jego pałacu. Jego grób różni się znacznie od wszystkich innych znanych grobów faraonów egipskich. Nie tylko etykieta pogrzebowa, nie tylko wymogi kultu — lecz jakieś inne, zagadkowe przyczyny sprawiły, że wraz z młodym faraonem pochowano w podziemnym labiryncie grobowca cały jego pałac z meblami, skarbcem, i setkami przedmiotów codziennego użytku. Kapłani egipscy chcieli na złoto okradali zwykle w czasie uroczystości pogrzebowych zwłoki swoich władców, zastępując klejnoty szkłem kolorowym, a złoto małowartościowym metalem. Tutankhamun nikt nie okradł. Jego trumna-posąg jest z najszlachetniejszego złota, jak i autentycznie złote są jego popiersia, ozdoby, setki przedmiotów jego skarbcza.

Jakaś wielka miłość i kult unosi się nad tym milczącym dworem faraona. Z troską i pietyzmem tysiące rąk artystów, robotników, kapłanów budowały te wnętrza — gdzie Tutankhamun miał przeżyć pierwsze trzy tysiące lat swego grobowego trwania.

Od kilkunastu lat wszystko się zmieniło. Mumia faraona pozostała w podziemiach grobowca w Luxorze w Dolinie Królów — lecz jego martwy dwór przeniesiono do kairskiego muzeum.



Fragment oparcia tronu Tutankhamuna. Portret faraona i jego żony. Inkrustacja w drzewie złotem, srebrem i szkłem

w dłoniach insygnia władzy królewskiej i boskiej — faraon-Ozyrys. Jego złota twarz jest bardzo młoda. Wymodelowana w szlachetnej linii nos, pełne, lecz kształtne usta i czarne, niepokojące w swym naturalizmie oczy z lapis lazuli. Te oczy są akcentem całości atmosfery. Są ludzko żywe. Ich światło, a przede wszystkim niepokojący wyraz — przykuwa, szokuje. Patrzają wszędzie i nigdzie. Nie mają w sobie nic z porcelanowej bezduszności lalek w panoptikum. — Myślę, że Carnarvon i Carter, którzy w roku 1922 pierwsz z żyjących ludzi po

tysiącach lat spojrzeli w te oczy — zapomną tego spotkania do końca życia. Tutankhamuna są olbrzymie. Czerń źrenic odcina się miękko z białej powiek. Ciemna błędnica ku skroniom podkreśla długie wydłużenie ich owalu. Czarna uniesione ku górze nadają oczom wyraz smutnego zdziwienia. W Tutankhamuna zawarta jest czerń świątyni nocy luksurskiego grobowca Doliny Królów.



Złota trumna-posąg, w której zamknięta była mumia Tutankhamuna

Składane połowe łóżko faraona mogłoby jeszcze dziś służyć za wzór fabrykantom wojskowego zaopatrzenia. Jest daleko pomysłowiej i praktyczniej skonstruowane, niż wiele obecnych analogicznych modeli, które przeklinałmy w pustynnych obozach na przestrzeni ostatnich kilku lat.

Podziw budzą wozy wojenne i myśliwskie „władcy dwóch światów”. Koła zbudowane są bez kołków i oczywiście bez gwoździ. Cały wóz jest dostojnie zesznurowany długimi, mocnymi rzemieniami. Poszczególne części wchodzą klinowo jedna w drugą i z mocowane są wąskie otwory w drzewie. Ten system spajania dawał konstrukcji ogromną elastyczność i wytrzymałość.

Z bogatej kolekcji broni na uwagę zasługują bumerangi. Są one bliźniaczo podobne do australijskich. Wydaje się jednak, że łuk był ulubioną bronią Tutankhamuna. Królewskie łuki, bez cięlcw,

stoją dziś za szkłem i tylko z pogrobowych malowideł czerpać można świadectwo o dniach ich myśliwskiej chwały. Lecz to wszystko jest proste. Wozy bojowe, rękawice, broń, łoża, krzesła, kufry i pudra podróżne. Tamten świat sprzed trzydziestu wieków wynurza się dopiero z gablotek, kryjących bajeczną biżuterię faraona.

Te naszyjniki, bransolety, amulety i przedmioty o nieznanym nam dziś przeznaczeniu — są poematami w podwójnym wymiarze. Niemal każdy z tych przedmiotów jest arcydziełem sztuki: plastyka — złotnika, a zarazem stanowi pewną kompozycję abstrakcyjnych idei. Dziś nie rozumiemy ani rytualnej wymowy barw kamieni i emalii, ani sensu ideogramicznych znaków. Każde z tych dziwnych cacek jest w rzeczywistości plastyką i literaturą — rzeźbą, malarstwem i poezją.

Pewien typ znaków hieroglificznych stanowi wartości ideograficzne. I tak np.



Luxor — fragment świątyni z okresu XVIII Dynastii

tarze” Tutankhamuna. Wykuty w brzoźnie ideograficzny „znak życia” podtrzymuje metalową wagę, napełnioną oliwą, w której przeciwoywano pochodnie.

Zadziwiający jest ten imperatyw trwania — wola nieśmiertelności. Kolosy, piramidy, potrójne kute w żłocie trumny — to są wszystkie fragmenty walki z zapomnieniem i nieością. Odnosi się wrażenie, że cała staroegipska kultura cierpiła na kompleks śmierci. Budowano całe miasta dla zmarłych, groby przewyższały świetnością pałace żywych — potrzeb był najważniejszym wydarzeniem w życiu człowieka.

Żołnierze Armii Sprzymierzonych chodzą w milczeniu po wielkich salach kairskiego muzeum. Patrzymy w to wspaniałe cmentarzysko cywilizacji — martwe, skatologowane, muzealne. Zza tych ciemnych granitów, z zagadkowych twarzy faraonów, z świętych jakby wczoraj rytymi znaków hieroglificznych — wyłania się obecność i egzotyzm. Między nimi a nami leży pustka, a nie tradycja. Zeszli w podziemia ze swymi hieroglifami i kultem śmierci — nie połączywszy się z nikim.

Jest coś ze słowa „ludzkość” w tym smutku, jaki towarzyszy widzowi, gdy patrzy na ten wrak wielkiej kultury, wyrzucony na brzeg martwy i bezużyteczny. Trudno oprzeć się wrażeniu, że jakiś katastrofizm — o którym my nie wiemy — zmógł tę cywilizację z powierzchni ziemi wraz z tajemnicą jej ludzi. Smutno jest przekonywać się, że kultury mogą umierać i ginąć w zapomnieniu. Smutno nam, Europejczykom może bardziej niż komu innemu.

W drugiej sali parteru, w złym, bocznym świetle, stoi marmurowa rzeźba. Gromadzi znacznie więcej widzów, niż siedmiometrowy posąg Amenofisa III, który przgniata wszystko swą masą i zdaje się wchłaniać całe światło. Podszedłem do tej rzeźby na końcu po zwiedzeniu grobowca Tutankhamuna i sali sarkofagów i mumii. Napatrzyłem się w czarne — dosłownie nie z tego świata — oczy młodego faraona i w celnym cyzelowanego złota jego trumnie.

Podszedłem. To jest grecki marmur. Efeb w krótkiej tunice z mieczem w ręku. Patrzący długo. Harmonia, metrum i rytm, proporcje — klasyczna atmosfera całości. Ta rzeźba była czymś wreszcie moim, powiązanym z przeszłością. Straszna rzecz jest pustka.

Patrzałem w marmurowe greckie piękno, powtarzając w myśli słowa Horacego z „Ody do Varusa”: „Quia Martem tunica tectum adamantina digne scripserit? Aut pulvere traico Nigrum Merionem?”

Pochodzimy z Grecji i z Rzymu — nie z Egiptu.

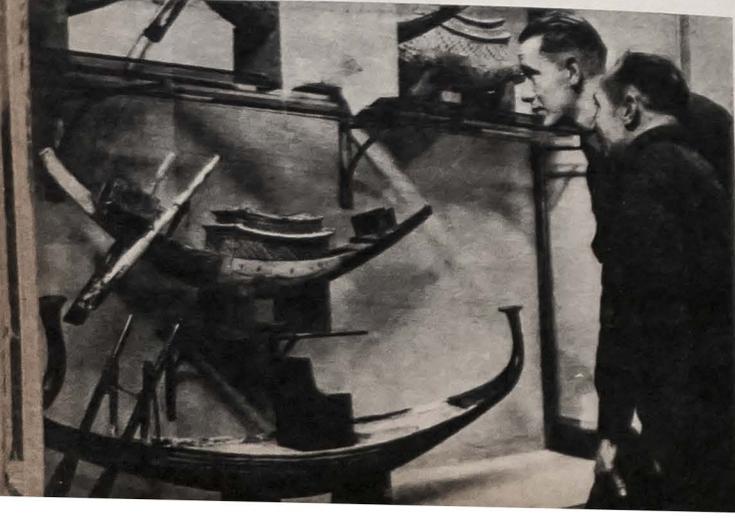
Złota maska Tutankhamuna, która kryła głowę jego mumii



Jeden z posągów gwardzistów Tutankhamuna, którzy strzegli wejścia do jego grobowca



Miniaturki jednostek floty Tutankhamuna, które przypominać mu miały za grobem potęgę Egiptu



POLACY NAD WIELKĄ WODĄ

Osiedle polskie Koja, położone jest na półwyspie nad Jeziorem Victoria, w odległości czterdziestu kilku mil od Kampali. Jadę tam samochodem w towarzystwie kierownika ekspozytury Delegata M. P. i O. S. na Ugandę oraz kierownika osiedla, który bawił w Kampali za interesami i teraz powraca.

Droga kręta i wąska, choć doskonale asfaltowana, biegnie naprzemian podzielnym lasem, albo wyciętymi w nim polanami, troskliwie uprawionymi i obsadzonymi roślinami stanowiącymi pożywienie Murzynów Buganda, przez których kraj przejeżdżamy. Najwięcej miejsca zajmują plantacje bananów. Obok nich rosną kasawy i bataty, a niekiedy orzechy ziemne, fasola i simsim. Kraj jest gęsto zaludniony. Widzimy Murzynów pracujących na polach i wędrujących wzdłuż szosy. Wszyscy są ubrani, oprócz najmniejszych dzieci, świeżym wypukłym i tustym, lśniącym brązkiem. Rad bym bardzo zatrzymać się tu i ówdzie, przyrzec się pracy na polu, albo sfotografować bardziej interesujące postacie. Niestety moi towarzysze podróży nauczyli się już od kolonialnych Anglików nie interesowania się Murzynami i ich życiem. Ponagają przy tym, bo wyjechalibyśmy z Kampali późno, a w Koji jest wiele do zobaczenia.

Mało też mogę mi powiedzieć o organizacji życia w wioskach murzyńskich i panujących wśród ludności tubylczej stosunkach gospodarczych i społecznych. Dopiero na drugi dzień, podczas kolacji,



Uganda — sprzedawczyni naczyń glinianych



Uganda — chata na skraju dżungli

Po wizycie u angielskiego komendanta osiedla i po zwiedzeniu biur kierownictwa, w których zwraca uwagę wspaniałym, plastycznym model Koji, udajemy się na zwiedzenie poszczególnych części osiedla. Rozpoczynamy od pobrzeża Jeziora Victoria, które nieci mnie szczególnie, już z daleka przedstawiając się bardzo malowniczo i pięknie. Po drodze spotykamy stado krów, pędzonych w kierunku osiedla. Wracają z paszy, z obfitych łąk nadbrzeżnych, na których spędziły całą noc pod strażą kilku pasterzy Murzynów i nadzorującego ich pasterza-Polaka, p. Matwijczuka. Kierownik osiedla zatrzymuje go i zagaduje. P. Matwijczuk, z

którym nawiązuję znajomość, jest Pole-szkiem i obecny zawód nie jest dlań nowością. Miał w kraju zawsze do czynienia z krowami, zna się świetnie na hodowli i stanowi ona jego żywioł. To też w Koji z radością objął nadzór nad stadem i czujnie go strzeże przed różnymi niebezpieczeństwami, niezwykłymi na Polesiu, a tutaj grożącymi na każdym kroku. Rozmowa z p. Matwijczukiem jest pełna egzotyki i stawia lepiej przed oczyma fantastyczny los, jaki spotkał naszych biednych uchodźców z Wileńszczyzny, Wołynia, czy Polesia, niż całe tomy rzeczowych opisów i statystyk, dotyczących emigracji.

hipopotamami używają przejażdżek po jeziorze, jeżeli tylko mogą zdobyć łódź. Ostatnio nawet budują własne łodzie dla drużyny harcerzy wodnych, która się w osiedlu zorganizowała i pozostaje pod kierownictwem zwolnionego z powodu ran bosmana polskiej marynarki wojennej.

Brzegi jeziora są także i z bliska malownicze. Szara toń obmywa kamienie nadbrzeżne, szmerząc tajemniczo. Niestety z Koji nie można dojrzeć całego ogromu Victoria Nianza, bo widok zastępują wyspy rozrzucone w odległości kilku kilometrów od brzegu. Dopiero poza nimi rozpościera się bezgraniczna toń tej wielkiej, największej w Afryce wody.

Nad brzegiem stoją rozłożyste drzewa, większe od najpotężniejszych sosen białowieskich. Na ich wierzchołkach gnieźdzą się jakieś białe ptaki. Nieco dalej w głąb łądu, ku osiedlu, na drzewach mniejszych, mieszka stado małych małpek, będących ucieczą osiedla. Spuszczają się na niskie gałęzie z zaufaniem, aby przyjąć trochę owoców, albo kawałek chleba od mieszkańca osiedla. Czynią tak, jeżeli ofiarodawca jest stateczny, dorosły i biały. Natomiast chronią się na wyższe gałęzie, jeżeli zbliży się Murzyn, albo gromadka małych Polaków, spieszących, aby się z nimi „zaprzyjaźnić”. Widać, że te objawy „przyjaźni” ze strony chłop-ców nie bardzo się małpom podobały. Ba, podobno zdarzyło się, że zrytowany przedrzeźnieniem go „małpiar” zeskakiwał błyskawicznie z drzewa i wymierzał sztychcem cios małą, uwłosioną łapką. Potem z piskiem i parsaniem zmykał z powrotem, aby z wysokiej gałęzi powtarzać, ku radości dzieci, ich brzydkie gesty i grymasy. Z Murzynami mają małpy inne, stare porachunki. Wiedzą, że „małpina” jest jednym z najulubieńszych dań mieszkańca Bugandy. Toteż i teraz, na widok naszego czarnego szofera, mimo że jest w mundurze i ma orzełka na czapce, chowają się w najgłębsze gałęzie swego zielonego domu.

Nad jeziorem również, tylko z drugiej strony półwyspu, położone są zabudowania gospodarskie osiedla. Zwraca szczególnie uwagę imponująca hodowla trzody chlewnej. Olbrzymie wieprzopasy, smukłe świnię bekonowe i malutkie, zabawne prosięta — wypełniają wielką przestrzeń świniami, otoczoną drewnianą palisadą i podzieloną na dziesiątki małych zagrod „rodziny” i indywidualnych. Chlewnie w Koji prowadzone są wyłącznie pracą uchodźców, przeważnie kobiet, i zaspakajają niemal całe zapotrzebowanie osiedla na wieprzowinę. Po zwiedzeniu fermy oglądamy budynki warsztatów wytwórczych, pracujących dla potrzeb osiedla i na sprzedaż. Są tu wielkie warsztaty meblarskie, wyrabiające sprzęty do domków osiedla, warsztaty krawieckie i szewskie, produ-



Uganda — wyrzewający się krokodyl

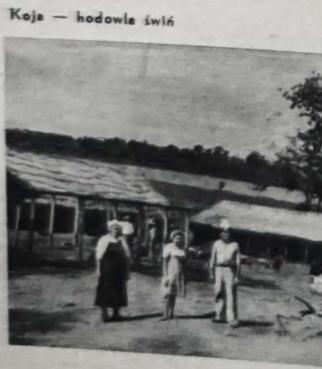


Uganda — Serwal

dowiadując się od sąsiada, plantatora angielskiego z Bugandy, że ziemia w Bugandzie jest w większości własnością bogatych posiadaczy Murzynów, którzy wydzierżawiają ją za roczną rentę rolnikom. Ci drobni dzierżawcy pozostają do właściciela w stosunku lennym i oprócz zasadniczej renty za fermę składają mu dodatkową opłatę od upraw specjalnych, handlowych — takich jak kawa, albo bawełna. Większość rodzin murzyńskich uprawia jednak tylko tyle, ile im potrzeba do życia, a pieniądze na rentę zdobywa, pracując ubocznie u plantatorów-obszarników. Podstawą uprawy i pożywienia Murzyna jest banan, nie ten, jadalny jako owoc, na surowo, który znaliśmy w Europie przed wojną, ale inny, służący do licznych celów gospodarczych. Banan m a t o k e, którego jest ponad dwadzieścia gatunków, służy do gotowania, zastępując warzywo. Innego — m b i d e — używa się do wyrobu piwa, a jeszcze inny gonia, spożywany jest pieczony, podobnie jak rzepa na Zmudzi. Ogród rodziny murzyńskiej dostarcza rocznie 4 do 6 ton różnych bananów. Oprócz nich na pożywienie rolnika Bugandy składają się słodkie kartofle — b a t a t y, orzechy ziemne (arrachidy), fasola i rzadziej kassawa, prososogum i groch. W ogóle dieta Murzyna tutejszego jest prawie wyłącznie wegetariańska — uzupełniana rzadko jajami i drobiem, a niezmienne mlekiem kozim.



Koja — małpa „sąsiadka”



Koja — hodowla świń

— Jak noc zesła, panie Matwijczuk? — pyta kierownik osiedla.
— A, nie dobrze panoczku, nie dobrze. Całą noc jedna krowa napierała się do wody i do wody! Bałem się o krokodyla, więc nie dawałem.
— to znawo do wody. Co odpędo — o święcie, panoczku mój, ja patrzę — a to nie krowa, tylko hipopotam! Po ciemku wiadomo, nie poznasz!
Niechby kto Matwijczukowi powiedział pięć lat temu na Polesiu — że będzie strzegł hipopotamów w Ugandzie przed krokodylami!

Hipopotamy, istotnie, nie są bardzo płochliwe. Często wychylają z toni jeziora swoje potworne łby i małymi oczkami z zaciekawieniem obserwują ruchliwe życie nadbrzeżne. Nie słyszałem także w Koji, — aby hipopotamy z Victorią miały podobnie złośliwą umowę z krokodylami, jak to jest na Nilu Alberta, gdzie często, podplływając z nagłą, wywracają czołna i mniejsze łodzie, oddając wiosłarzy na łup współnika-krokodyla. Za to młodych hipopotamków, a starych, wiadomo, ugryźć nie może, jako że zbyt gruboskórne. W Koji Polacy nic nie wiedzą o tej historii i bez obawy przed



Koja — polska gospośka

kujące odzienie dla uchodźców. Jest przedziałnia i warsztaty tkackie, wyrabiające tkaniny lniane, podobne do wileńskich i cieszące się wielkim powodzeniem w Kampali, u Angielków, które używają je na kostiumy. Zwiedzamy także fabrykę waliz, nabywanych przez uchodźców szczególnie chętnie. Każdy bowiem, kupując walizę, myśli o utęsknionej drodze powrotnej do Kraju.

Na zakończenie zwiedzamy trzy osobliwości osiedla — warsztaty hacjarskie, wytwórnice skrzypiec i fabrykę chałwy. Hafty z Koji zyskały sobie wielki popyt w całej Ugandzie. Skrzypee, robione z rozmaitych rodzajów miejscowego drzewa, mają bardzo piękny ton i byłyby równie popularne, gdyby nie to, że specjalista, który je wyrabia, może dostarczyć najwyżej 4, czy 5 sztuk miesięcznie. Produkcja słodyczy jest dopiero w stadium organizacji, ale już teraz jest przedmiotem niecierpliwych oczekiwań dzieci, stęsknionych za smakołykami, które trudno nabyć w Ugandzie.

Organizacja prac wytwórczych Koji, zarówno jak cała, dość skomplikowany system ekonomiczny, jaki jej towarzyszy, jest dziełem kierownika osiedla oraz kierownika działu pracy w osiedlu, magistra praw Sobolewskiego. Wytwórcą, przedsiębiorcą i sprzedawcą jest zarząd osiedla. Wypłaca on zatrudnionym w wytwórnich wynagrodzenie, według ustalonych stawek godzinnych, albo akordowych, a następnie ocenia wytworzone towary

Koja — fabryka chałwy



Koja — warsztaty rękodzielnicze



Koja — warsztat tkacki

i sprzedaje je bądź wewnątrz osiedla, bądź na zewnątrz, przeważnie w Kampali. Warsztaty są pomyślane jako samowystarczalne. Przewiduje się pewne sumary na amortyzację, lub zakup nowych narzędzi, ale nie przewiduje się zysku. Warsztaty są zorganizowane przede starczyt pracy, a poza tym, by zaspokoić głód towarów, wzrastający proporcjonalnie do powiększania się zarobków. Obecnie w Koji pracują już niemal wszyscy ci, którzy mogą pracować fizycznie. Nawet osoby, które nigdy przedtem nie

Koja — polski kościół



Polski św. Mikołaj i włoski aniołek

Żołnierze polskich oddziałów pancernych we Włoszech urządzili, z okazji święta Bożego Narodzenia, „Gwiazdkę” dla najbardziej potrzebujących dzieci. W każdym garnizonie ubogie dzieci z okolicy otrzymały praktyczne upominki — pończochy, bučki, rękawiczki i słodycze.

„Gwiazdka” była zorganizowana i uroczona różnie, w zależności od miejsca postoju poszczególnych oddziałów. W małych wioskach, z braku właściwego lokalu, obdarowywanie dzieci odbyło się bez większych ceremonii. Panowała wrzawa i śmiech, utrudniające wcale zadanie św. Mikołajowi, któremu działo nie tylko zabrano w jednej chwili wszystkie podarki, ale powyrwano czelodnemu stercowi kłaki waty z przyklepionej brody. Przyglądający się temu ze zgorzleniem dostojny szef kompanii, mrknął: „A mówię, że tę zgrają trzeba było postawić w szeregu lub w rzędzie i wywoływać kolejno po nazwisku”.

Gdzie indziej, lepiej, w wiosce włoskiej św. Mikołaj otrzymał należytą powagę i pytał wzruszone dzieci o pacierze, szczególnie gorliwie egzaminując kilkunastoletniego podlotka, który się zawieruszył między matę brzdące.

Jeszcze inny oddział urządził „Gwiazdkę” w pobliskim sierocińcu. W dowód wdzięczności włoskie dzieciaki zaśpiewały naszym pancerniakom kolędę po polsku (!), a poza tym jeszcze włoską piosenkę „o dobrym żołnierzu Polaku”.

W większym nieco miasteczku, przebrani za św. Mikołaja podchorąży, przyjechali wraz z podarkami własnym



czotgiem pod ratusz, ku wielkiej ucie-sze miejscowej gawiedzi. W pięknej sali miejskiej „Gwiazdka” przybrała charakter uroczystej akademii, mani-festacji przyjaźni polsko-włoskiej.

Troska żołnierza polskiego o szych najbliższych w Kraju przelana została na najuboższe dzieci włoskie. Żołnierze śpiewali kolędy, a chór miejscowy „czarował” rozbaulone dziewczęta.

— włoskie pieśni religijne i narodowe. Nastroj stawał się coraz mniej uroczysty, a coraz bardziej serdeczny. Młodemu podchorążemu trudno było utrzymać powagę św. Mikołaja, więc natychmiast po obdarowaniu dzieci opuścił salę i — nie pozbywając szat — białej brody, ani dostojnych szat — „czarował” rozbaulone dziewczęta.



HARCERZE POLSCY PRZYSZLI MARYNARZE

Przejeżdżało przez Kair w drodze do Anglii 25 chłopców, harcerzy polskich z Iranu. Są to przyszli marynarze naszych statków handlowych. W Anglii, potaczą się z innymi chłopcami, przybyłymi z Palestyny i Afryki Wschodniej, tworząc pierwszy zespół uczniowski polskiej szkoły marynarki handlowej. Harcerze spędzili w Egipcie dłuższy czas, zwiedzając muzea i wykopaliska. W swych barwnych mundurkach byli wszędzie przedmiotem żywego zainteresowania i sympatii. Amerykańska Organizacja Służby Pomocy Polakom „War Relief Services — N.C.W.C.” podejmowała harcerzy podwocetorkiem w swym pięknym, przeznaczonym dla ochotników Domu Wypoczynkowym. Obecny był również kierownik „War Relief Services” na Środkowym Wschodzie dr Brzeziński. Chłopcy pochodzą ze wszystkich stron Polski, m. in. z Warszawy i Gdyni.

W Domu Wypoczynkowym „War Relief Services”



DZIECI POLSKIE W NOWEJ ZELANDII

Wielka jest Nowa Zelandia, ale słabo zaludniona. Dwa większe miasta, około dwóch milionów mieszkańców, — malowniczy kraj. Jest on jednak w tej chwili przodującym krajem na świecie pod względem reform społecznych.

Wielka była tu sensacja, kiedy szef rządu Peter Fraser postanowił zaprosić do swego kraju kilkadziesiąt dzieci polskich wraz z asystą dorosłych i udzielić im gościnny na czas trwania wojny. Łatwo więc odmalować sobie sensację w tym niewielkim, a tak pięknym kraju, gdy do portu w Wellingtonie zawinął statek, wiozący polskie dzieci.

Już na pokładzie statku amerykańskiego, dzieci nawiązały kontakt z Nową Zelandią i innymi członkami życzliwych nam Narodów Zjednoczonych. Żołnierze nowozelandzcy, powracający z frontu włoskiego, jadący do domu żołnierze i pielęgniarki amerykańskie, oraz lotnicy chińscy przydzieleni na treningi bojowy do

Stanów Zjednoczonych — wszyscy oni dołożyli starań, by dzieciom tę podróż urozmaicić i uprzyjemnić. A że to były dzieci polskie, więc śpiewów chóralnych nie zabrakło.

W porcie dzieci powitane zostały przez Gospodarza Kraju, a wielkiego przyjaciela Polski i Polaków, Premiera Frasera, który przybył osobiście zapewnić swych gości, jak bardzo on sam, jego koledzy i rodacy są radzi goszcząc młodych Polaków w swym kraju i chociaż tym spłacić w części ogromny dług innych narodów, których wojna mocniej nie dotknęła. Wraz z Premierem przybyli na statek Konsul Generalny R.P. i delegatka P. C. K. p. Wodzicka.

Powitanie dzieci przez społeczeństwo nowozelandzkie było nie mniej serdeczne. Szpalery wzdłuż linii kolejowej z portu do obozu w Pahiatua, dzieci ze szkół nowozelandzkich na stacjach, którymi pociąg przejeżdżał, kwiaty, prezenty i ciepłe słowa przyjaźni...

A gdy dzieci nasze jeszcze zobaczyły doskonale zorganizowane obozy i rodziny tużące zasydły do czysto nakrytych stołów w małych domkach, oddanych im do użytku, kiedy nowozelandzkie „pestki” podały im pierwszą wieczerną — czyż można się dziwić powszechnemu wzruszeniu?

Dziennikarze nowozelandzcy, którzy towarzyszyli transportowi w drodze do obozu w Pahiatua i obserwowali pierwsze chwile pobytu oraz reakcję dzieci i ich opiekunów, podkreślają niezwykle spokojny i czystość dzieci polskich, które — choć w niedźnych i niedopasowanych ubrankach i obuwiu — robiły bardzo dobre wrażenie. Podkreślono, iż w dziejach polskich uderza „blond beauty” i dziwny, przeraźliwy spokój. Kiedy jednak dzieci zobaczyły specjalne komódki, prysznic, słoneczne sale szkolne i rekreacyjne, i trawę, zieloną trawę, którą w ołno deptać — spokój odeszły do Azji, same zaś rozpoczęły prawdziwie wariacką zabawę.

Rząd nowozelandzki przeprowadził wielkie inwestycje w obozie dla internowanych w Pahiatua, który oddany został

Str. 3 i 4: fot. British Min. of Inform.
Str. 6 i 7: fot. M. Walentyłowicz
Str. 8 i 9: fot. Bela Zola, Mary Mollo
Str. 10 i 11: fot. Jerzy Pomian
Str. 11: fot. T. Szumański
Str. 12: fot. Chruściel, W. Choma
Str. 14: fot. „Parada”
Str. 14 i 15: fot. U. S. Office of War Information
Str. 16 — Luxor, poseg Ramzesa II — fot. Mary Mollo

Układ graficzny:
JERZY MŁODNICKI



Wirów żołnierzy na pokładzie statku

Mecz bokserski najmłodszych, zorganizowany przez amerykańskich marynarzy



Fasowane lody jedzą z wielkim namaszczeniem



↓ Premier Nowej Zelandii powitał dzieci polskie

do dyspozycji dzieci. Dodatkowe sale szkolne, domki dla rodzin, kaplica i teatr — to inwestycje, których koszt przekroczył ćwierć miliona funtów.

Kierownictwo obozu spoczywa w rękach delegata Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej i Ministerstwa Oświaty, mgr. Siedzińskiego, do którego przydzielony jest oficer łącznikowy władz nowozelandzkich.

W pierwszych dniach pobytu dzieci w Nowej Zelandii, odbyła się wzruszająca uroczystość. Jeden ze statków naszej marynarki handlowej, wstawiony wielu przygodami w czasie tej wojny, zawinął do portu nowozelandzkiego w kilka dni po przyjeździe dzieci. Ze statku przyszła despesza: „Oficerowie i załoga statku polskiego przesyłają dzieciom polskim najserdeczniejsze życzenia i pozdrowienia”. Nie długo potem oficerowie i polska załoga statku przybyli do Pahiatua, zwiedzając po drodze osadę, w której przebywają najstarsi emigranci z Polski, przybyli do Nowej Zelandii na długo przed poprzednią wojną.

Przyjęci entuzjastycznie przez dzieci marynarze polscy zwiedzili oboz, co trwało bardzo długo, gdyż dzieci nastawały na pokazanie wszystkich „cudów” nowego miejsca pobytu. Następnie odbyła się zabawa w czasie której występowały dzieci, śpiewali marynarze, a bawili się wszyscy, którzy nie słyszeli przez lata tyle śpiewów chóralnych, ile przez tych kilka dni. Pierwszy oficer i delegat załogi ofiarowali dzieciom flagę statku, życząc im zarazem, by godnie reprezentowały Ojczyznę.

Marynarze twierdzili potem, iż był to radosny dzień w ich życiu, co zaś mówiły dzieci, które jedna z dziennikarek miejscowych nazwała słusznie „najsmutniejszymi ofiarami wojny, którym odebrano miłość” — nie trudno się chyba domyślić...

Ryszard Krygier



Na terenie obozu w Pahiatua



